

Dwa filmy – dwie Polski

JACEK WEGNER

Dwa filmy tak różne, że wydawałoby się, ich tytułów nawet nie sposób logicznie zapisać w tym samym wierszu. A jednak łączy je... nasza, i w pewnym sensie europejska, historia.

Od końca XVII w. jesteśmy narodem wewnątrznie rozdwojonym. Owa dwudzielność narodowa w jednym państwie, czy raczej, posłużę się paradoksem, w jednym narodzie, to przejaw regresu, który sprawia, iż nasze państwo staczało się i wciąż stacza po równi pochyłej dobra obywatelskiego.

Pierwsza poważna dychotomia objawiła się w egzekucji Samuela Zborowskiego w 1584. Niedawno czytaliśmy Jarosława Marka Rymkiewicza opowieść osnutą wokół tego wydarzenia, któremu zresztą kilku innych pisarzy nawet większej miary wcześniej poświęciło utwory literackie. Owo szesnastowieczne zderzenie dwu wizji państwa (narodu?) nie było jeszcze brzemienne w skutki polityczne; może dlatego że Rzeczpospolitą kierowali dwaj tytani myśli i czynu politycznego – Stefan Batory i Jan Zamoyski.

Natomiast po dwustu z górą latach zapłaciliśmy za ową dychotomię cenę najwyższą – śmiercią państwa i wegetacją i narodu. Zaczęło się zaraz się po zgonie Jana III Sobieskiego, kiedy część wyborców ze strachu przed armatami wschodzącej gwiazdy okrutnego Wschodu, Piotra Pierwszego, ukoronowała Sasa, a druga również powołała na tron Stanisława Leszczyńskiego. Wojnę między zwolennikami obu monarchów wygrali pierwsi, gdyż mieli poparcie tysięcy karabinów i bagnatów wschodniego despoty. A nadto drugi król-elekt okazał się politykiem nieporadnym. Potomkowie tych pierwszych doprowadzili Rzeczpospolitą do zagłady. Nadeszła łatwo, bo czas sprzyjał rozbojom. Zachowania elity politycznej i intelektualnej z końca XVIII w. osobiwie przypominają nihilizm, cynizm, brak odwagi dzisiejszych. Większość z nich wyznaje ideologię „poprawności politycznej”, która w istocie rzeczy jest dążeniem do zniszczenia tradycji chrześcijańskiej.

I właśnie film Pawła Pawlikowskiego [„Ida”] wpisuje się w te tendencje, ku poklaskowi i radości establishmentu współczesnego Zachodu. Od razu jednak zastrzegam – „Idy” nie widziałem. I nie zobaczę, ponieważ poznanie tego obrazu uwłaczałoby mojej godności Polaka i katolika. Wiem o tym ze znakomitego eseju Dominika Zdorta „Triumf Idy” (Plus Minus 20-21 grudnia 2014 r.).

W tym samym mniej więcej czasie, gdy „Ida” zaczęła być oklaskiwana za granicą, to jest na początku grudnia ub. r., błysnęło na naszych ekranach i zniknęło natychmiast niczym błyskawica „Obce ciało” Krzysztofa Zanussiego. Nie ma rozbudowanej fabuły, reżyser operuje skrótem, domysłem, znakiem-symbolem, których znaczenia są niesłychanie pojemne. Na przykład zdjęcie ledwo na moment migające przed oczami widza, wieszanego człowieka, którego śmierci domagała się – oczywiście w domyśle – stalinowska prokurator, matka bohaterki, karierowiczki pozbawionej jakichkolwiek skrupułów moralnych, dziedziczącej de-grengoladę moralną tak silną, że aż przerażającą widzów. Na przeciwnym biegunie sytuuje się kreacja równej młodej kobiety determinowanej powołaniem do życia zakonnego, dlatego zrywa narzeczeństwo – cierpi, widząc cierpienia narzeczonego (nb. Włocha), a jednak ostatecznie przedkłada wartości duchowe nad wszelkie inne.

Jeśli powiem teraz, że ten film to alegoria, na pewno nie odejmę mu znaczenia, wprost przeciwnie, ponieważ uważam, że jest w nim wizja Polski tradycyjnej, Polski wielkiej duchem,

Polski, której nie mają się miazmaty współczesnego postmarksizmu, zwanego dla niepoznaki „poprawnością polityczną”.

Tymczasem „Ida” to dzieło, jak pisze Dominik Zdort, „wysmakowane estetycznie (...), w którym każdy kadr jest głęboko przemyślany i pięknie skomponowany”. Ale kilkanaście wierszy poniżej wywodzi z tej oceny wnioski taki: „Tym gorzej, bo w świat idzie ukryta pod cienką warstwą pięknych czarnobiałych-białych obrazów brutalna antypolska propaganda” – i trzeba dodać: także propaganda antykatolicka. W XVIII w. Wolter wynosił pod niebiosa Semiramidę Północy, brał od niej drogocenne futra, sławił jej panowanie i w swej ojczyźnie chwalił się znajomym, że trzymał Katarzynę za kolano... Jego rówieśny rodak Rousseau zaś ze spokojem niezmaconym świadomością dokonującej się w środku Europy zbrodni politycznej radził Polakom i Litwinom, że jeżeli nie mogą się ustrzec połknięcia przez sąsiadów, to niech chociażby sprawiają, żeby ich nie strawili.

Zdort akcentuje, że „Idę” wspierają „liczne instytucje kulturalne, które działają w imieniu polskiego państwa” i wedle autora, uparty się one, „aby wylansować to wielkie dzieło antypolskiej propagandy jako wizytówkę naszej kinematografii”.

Zdort, jak przystało na wytrawnego publicystę, zaczyna i kończy swe opinie o filmie Pawlikowskiego tym samym: odniesieniem i przywołaniem Reni Riefenstahl, mistrzowskiej reżyser w służbie Hitlera. Jej duch unosi się nad „Idą”, tak że – jak przenośnie mówi za nią Zdort – ona całkiem nie umarła...

Ciekaw jestem, co po Oskarze dla „Idy” napiszą nasi wybitni krytycy filmowi.

Gdyby żyła Maria Dąbrowska, mogłaby w odniesieniu do obu filmów powtórzyć, co niegdyś zauważyła, że „starły się dwa narody moralne. Jeden naród twórczości i doskonalenia się i drugi naród – naród kłamstwa i konwenansu”. Determinantami podziału nie są i nie były wcale uwarunkowania etniczne czy tym bardziej genetyczne. Dąbrowska moralność narodową tłumaczy, jak każdy artysta pióra, prostymi pojęciami, z których wynikają nader złożone rzeczywistości. Trawestując, rzekłbym więc, że w obu filmach zetknęły się dwie Polski: jedna sprzedajna, jak w czasie rozbiorów i od 1944 r., Polska dzisiejsza Tuska-Komorowskiego oraz druga współczesna Polska – godna, uczciwa i twórcza, Polska Lecha i Jarosława Kaczyńskich. Która nad którą dominuje?

Doszło już do tego, że młoda elita, młodzi humaniści po wyższych studiach, nie rozumieją imponderabiliów, nigdy nawet nie zetknęli się z tym pojęciem. Po takich filmach jak „Ida” nigdy nie rozumieją ni odczuwają. Mogliby, gdyby oglądali filmy jak „Obce ciało” czy jeszcze wcześniejszy, acz nie tak głęboki „Układ zamknięty”. Tylko z „Gazety Wyborczej”, którą najczęściej czytają, i mediów prorządowych nie dowiedzą się o tych dziełach. Późny wnuk dostrzeże ich znaczenie dla kultury polsko-chrześcijańskiej.

Bo w końcu mam nadzieję graniczącą z pewnością, że ostatecznie Polacy ze swymi imponderabiliami, przestaną być we własnym kraju „obcym ciałem”, a Polska znów upodobni się do Polski Zamoyskiego, żółkiewskiego, Sobieskiego, Piłsudskiego, Jana Pawła II, Kaczyńskiego.

Nadzieja nigdy nie umiera, a zawsze pobudza do budowania lepszego.